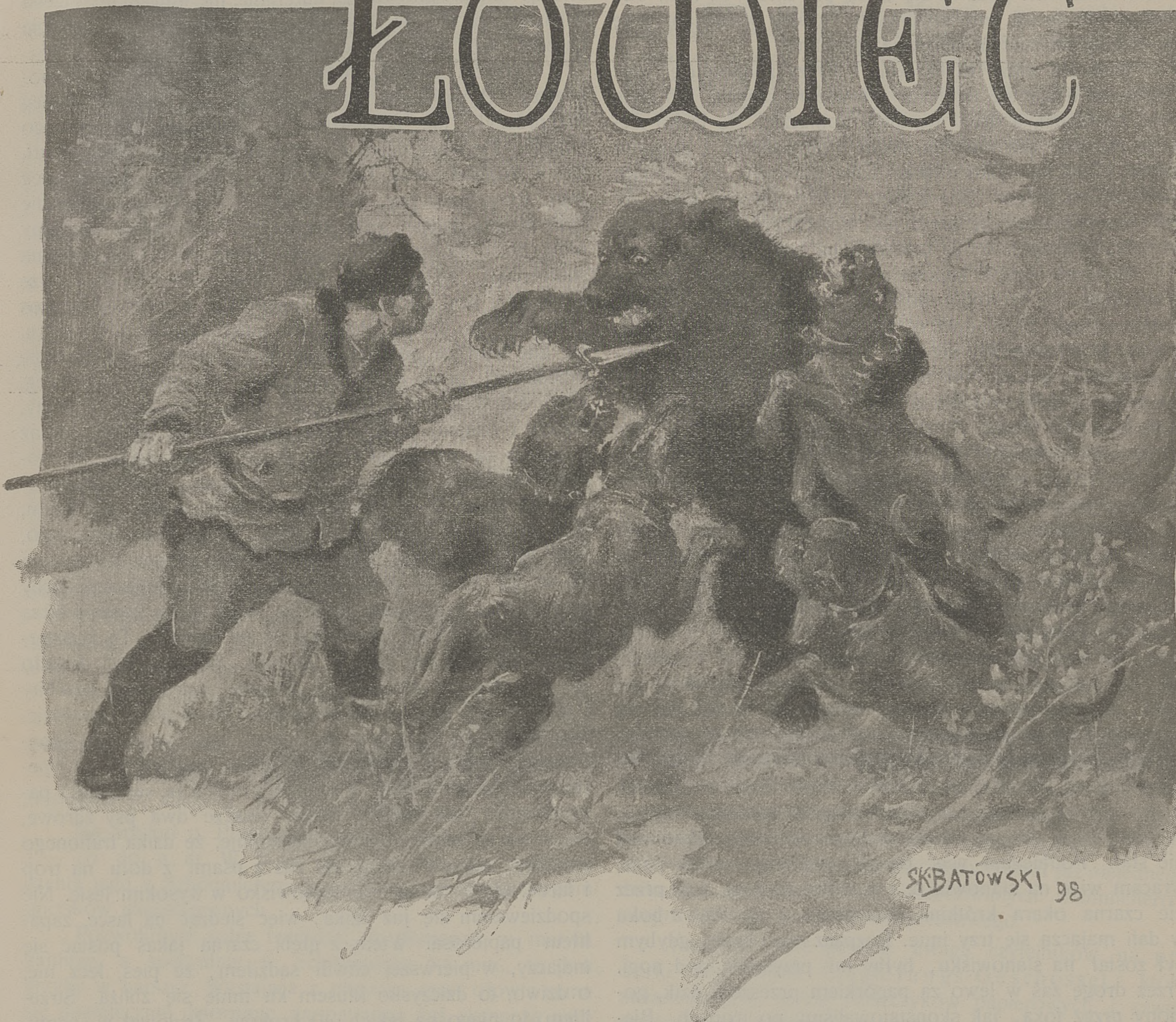
Nr. 6 Lwów, 16. marca 1904. Rok XXVII.

ŁOWIEC



Prenumerata kwartalna: 1 zł. 25 ct., 2 m. 50 f., 1 rs. 25 kop., 3 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca.

Z pieskami na dziki.

Ponowa. — Góry, które porozsiadały się nad brzegami Sanu, w białych są płaszczach i radzą, a radzą już od wieków, drzewa białe, jak z cukru, szepczą z górami, a wśród tej bieli czarni rycerze snują się, jak duchy, znacząc jednak drogę tropami i buchtami. Z gałęzi i gałązek okiść zwiesza się malowniczo, a w zapustach bukowych, gdzie kij przy kiju, miejscami płaty śniegu i oko wykol, a i na pięć kroków nie zobaczysz niczego.

Śnieg szkli się, jak zasiany tysiącami brylantów, góry piękne, lasy piękne, a prześliczne w tej krasie przejściowej smereki, lecz najpiękniejszy odyniec, który z tych zwartych białych gąszczów wysunie łeb siwy, potężny, wietrząc gwizdem przezornie, czy może się dalej odważyć. Postoi dziczych nie brak jest nad Sanem, a teren to niełatwy, z nagonką nic zrobić się nie da, tylko z pieskami. Parye, wertepy i gąszcze bajeczne, przez które tylko psy się przedostaną i tylko one poruszą czarne rycerstwo.

Stoisz na stanowisku i słuchasz. Cisza dokoła, zdaje się, że las zaczarowany przez wróżkę, uśpiony przez czarnoksiężnika. Wtem zdala, gdzieś w paryach i gąszczach, dolatują psie głosy „ciw, ciw, ciach, ciach,“ gonią. Lecz co gonią? Bo i dziczarze, wpadłszy na świeży trop sarny, pogonią ją, choć zwyczajnie niedaleko. Gon jakiś powolny, więc nie sarny i nie lis, bo nie okładają, wtem „hau, hau“ grubym głosem w miejscu, serce zabiło mocniej, to dziki, bo psy stanowią je w miejscu. Znów ruszyły, gonią, lecz niedaleko i znów „hau, hau“ w miejscu, stanowią. Ten dzik rozjuszony, zwrócony gwizdem do psów, stojący w gąszczach, a małymi ślepiami, iskrzącymi z gniewu, szukający drogi, gdzie wypad ma zrobić na złaję natrętów, szczekających ze wszystkich stron, to widok przepyszny!

Nareszcie szurnie ku nim, jak strzała i już „aj, jaj, jaj“ narzeka cięty, reszta się rozprasza na wszystkie strony, a dzik kłusikiem posuwa się dalej, psy znów za nim. Tak zbliżają się przed linię myśliwych, którzy wsłuchani w tę grę z bijącem sercem oczekują spotkania.

Dzik źle widzi, za to czuje i słyszy znakomicie, więc z wiatrem liczyć się trzeba w pierwszym rzędzie, kto chce mieć spotkanie, a drugi warunek konieczny, to cicho siedzieć lub stać, jak makiem zasiał. Polowaliśmy z dobrymi psami, które nie tylko dobrze dzika trzymały, ale i śmiało nacierały na niego. Cóż z tego, kiedy gąszcze takie, że ani rusz przedrzeć się przez nie, a zobaczyć trudno nawet na kilka kroków, tak, że człowiek na czas nie dobiegnie.

Staliśmy przed zapustem bukowym, gęsto grabem podszytym na szerokiej dość drodze, za nami również gąszcz zwarty. Dziki były otropione. Psy wpadłszy na nie, rozbiły je i rozdzieliły się tak, że podczas gdy jedne goniły daleko od nas, inne natarczywie ścigały dzika, który po dwakroć defilował przed nami niewidziany na kilkanaście kroków, fucząc i dmuchając, rozsierdzony na psy; emocye na całej linii szalone, aż wreszcie przyparty, wypadł na drogę, a chybiony przypadł w gąszczach naprzeciwko. Następne mioty były bez spotkania.

Przybywszy nazajutrz do kniei, otrzymujemy wiadomość, że dziki obcięte. Rozstawiliśmy się natychmiast, ja zaś stanąłem w tropach za miotem. Postanowionem było, by puścić foxteryera „Stopa“, znakomitego na dziki, który niejedną bliznę ma na sukni i nieraz w ciężkich był opałach. Ja sam raz wiozłem go z polowania na kolanach, bo cięty był tak, że iść nie mógł, a wnętrzności widać mu było. W trzy tygodnie później wyleczony, szarżował na czarnych rycerzy po dawnemu. Miot był krótki, gąszcze i okiść, leśny wszedłszy ze „Stopem“ w tropy, mając na głowie derę, sznurem od rękawic wkoło szyi obwiązaną, ruszył czarną czeredę, a „Stop“ pogonił jednego i słyszę, że gon zbliża się ku drodze w lewo odemnie, gdzie nikt nie stał. Podbiegam więc co sił, lecz pies ucichł i nic, wracam więc na stanowisko, a tu widzę zdaleka, wali przez nie czarna okara krótkim kłusikiem, a za nią z boku w dali majaczą się trzy inne. Rozpacz mnie brała; gdybym był został na stanowisku, byłby mi przyszedł pod nogi. Przez drogę zaś w lewo za pagórkiem przeszedł dzik, goniony przez foxa, jak skonstatowaliśmy po tropach. Bierzemy miot następny, psy gonią, lecz w przeciwną stronę od nas, wracają po jakimś czasie, dziki stają przed nami w zwartych gąszczach, psy naszczekują, lecz knury mądre, nie wychodzą. Trzeci miot był bez dzików, w czwartym goniły do wieczora, lecz rozdzieliły się, część poszła za sarnami, część za dzikami. Trąbiliśmy na nie do późnej nocy, aż się wreszcie zeszły.

I tak polowaliśmy przez dni ośm z wyjątkiem niedzieli. Rex gruby sapał pod górę, lecz dzielnie dotrzymywał placu, a psy ma doskonałe. Ostatniego dnia polowaliśmy przy księżycu. Psy około piątej popołudniu ruszyły rudel dzików, które pędziły na sztych na mnie z góry na dół. Zemocyonowany byłem szalenie i pewien, że lada chwila mnie obsypią. Waliło to z góry, jak szwadron po szeleszczącym śniegu, lecz dzięki niespokojnemu sąsiadowi, zasztorcowały blisko mnie w gąszczach, psy „hau, hau“ w miejscu, ja czuję, że nie wyjdą, więc drę się ku nim. Daremnie, cały ten rudel odkręca i sunie gąszczami po górach i wertepach, psy w trop za nim i w świat idzie, jak uragan, ten dziki pościg. Księżyc już świecił jasno, a psy wciąż jeszcze harcowały za dzikami, rozdzieliwszy się pojedynczo. Tego wieczora byłem przy trzech psach i trzech dzikach, na kilka zaledwie kroków w gąszczu, słysząc fukanie gniewnego, daremnie, nie widziałem. Trzeba wiedzieć, że to nie równina, raz góra, raz dół i ciągle gąszcze, więc nogi i płuca w dobrej robocie.

Przyszła odwilż, błoto, przedsmak marcowego powietrza. Powróciłem do domu, ale gdy pierwszy śnieg przyprószył, nie wysiedziałem, telegrafuję do grubego i jazda. Pierwszy dzień na czarnej stopie, bo śnieg spadł, lecz i stopniał zaraz, bez rezultatu. Nazajutrz od rana śnieg wali. Puszczamy psy, lecz na ślepo, bo tropić jeszcze nie było można, dzików zdaje się nie ma. Popołudniu bierzemy miot, okiść mokra, śnieg pada, stoję dość apatycznie na stanowisku, wybiega na mnie suka, chwytam ją, wiążę i oczekuję psa. Lecz cóż to przedemną w jarze słyszę głos „Drużby“ na dzika. Puszczam sukę i pędzę z początku, ale kije wkrótce powstrzymują moje zapały i zaczynam się przedzierać przez nieznośną gąszcz, nie bacząc na śnieg, który chłodząc, za kołnierz się sypie. Nareszcie zgrzany, mokry i zziajany jestem przy psach, które ujadają wciąż i raptem na prawo od siebie widzę głowę dzika, skierowaną do psów. Złożyłem się, w tej samej chwili dzik skoczył ku psom, a ja strzeliłem. Strzeliłem źle, to czułem, gon poszedł w górę i ja na trop. Farba jest, lecz mało, więc hejże za psami. Dzik jednak idzie dobrze, to zsuwam się w dół, to pod górę, wreszcie ucichło, miejscami farby więcej, więc powracam ku górze, wnet słyszę trąbkę i łączę się z towarzyszami, przemoknięty na wskróś. Tu konsternacya, bo dwa psy cięte. Staremu „Szandorowi“ dostało się po udzie po dwakroć, a „Drużba“ ma brzuch przebity i wnętrzności mu z otworu wiszą. Po krótkiej naradzie, kładziemy psa na wznak w śniegu, wpychamy mu wnętrzności, jeden z towarzyszy zdradza bajeczny talent operatorski, zaszywa ranę, a rezultat: operacya się udała i pacyent żyje! Już zmrok, mamy jeszcze dwa psy zdrowe, więc jeszcze miot, bo leśny utrzymuje, że dzika trafionego znajdzie, stajemy górą, on zaś z psami z dołu na trop i farbę. Mnie dostaje się stanowisko w wysokim lesie. Nie spodziewałem się już dzika, więc siedząc na lasce, zapaliłem papierosa. Wtem z głębi czarna jakaś postać się majaczy, w pierwszej chwili sądziłem, że pies, lecz nie, o dziwo, to dziczysko kłusem ku mnie się zbliża. Strzeliłem do niego na jakich 40 kroków. Zrulował w ogniu.

Nazajutrz mamy raport pomyślny, bo dziki obcięte. Stoję na stanowisku, z którego na lewo odemnie o 200 kroków, może nawet dalej, mała polana. Psy puszczono, gonią. W tem przez polanę przebiega lis, za nim „Stop“, w tej samej chwili wypada dzik, za którym tuż gończy, a za tymi drugi lis. Widok to był bajeczny, jak żyć będę, nie zapomnę. W górze padają strzały i mamy na rozkładzie dwa dziki. Następne mioty bez rezultatu. Nie pominę jeszcze jednego dnia, w którym prócz innych dzików, spotkaliśmy się z dwoma grubymi odyńcami, lecz gąszcze i te kije przeklęte sprawiły niegodziwe pudła, a żal i boli, bo to były dziki potężne, jeden szczególniej kolos.

Oj niewdzięczne to polowanie z psami na dziki, lecz piękne i pełne uroku, a co wzruszeń, jaka gra nerwów, jakie ich napięcie, choć dużo zawodów i polowanie to nie łatwe, zato prawdziwie myśliwskie.

A. Sumiński.

To i owo o broni.

Prawdziwie pogratulować trzeba p. Mniszkowi szczęśliwej ręki, gdyż jak na zaklęcie czarodzieja powstają w pustych miejscach zaklęte pałace i wykwitają nieznane kwiaty, — tak na wezwanie jego, wystosowane w Nr. 3-cim „Łowca“ pojawiły się w 4-tym numerze dwa artykuły o redukowanych manlicherach, które można nazwać prawdziwemi perłami naszej literatury łowieckiej, w tej gałęzi dotychczas znacznie zaniedbanej.

Wiedzą o tem czytelnicy „Łowca“, że ja się pilnie zajmuję postępami w dziedzinie broni myśliwskiej, gdyż się już nieraz z nimi własnemi wiadomościami dzieliłem, to też z zajęciem wertuję wszystkie artykuły o broni, w niemieckiej literaturze łowieckiej się ukazujące. Każdy bezstronny przyzna mi, że są między nimi wzorowo, że tak powiem, klasycznie pisane artykuły, — to też nieraz smutek ściskał me serce, gdy porównywałem wyszkolenie autorów, znakomitą metodę i drobiazgową znajomość rzeczy z moimi i innymi artykułami w „Łowcu“.

Z prawdziwą więc radością i z dumą przeczytałem powyższe dwa artykuły p. Przedrzymirskiego i dr. W. B., które jakkolwiek różnych bronią zapatrywań, ale z równem czynią to mistrzowstwem. I znów raz dobitnie ujawnia się fakt, że mamy niepospolite talenta w ukryciu, ale chowamy światło pod korcem.

P. Przedrzymirski znany już czytelnikom zaszczytnie od dawna, ale w P. Drze W. B. należy powitać nową a świetną siłę w dziale bronioznawstwa.

Proszę wybaczyć, że wystąpiłem z takim panegirykiem, ale musiałem dać upust mej radości z powyższych artykułów, gdyż nadto żywo ją odczułem.

Po tym wstępie zabieram się do merytorycznej strony artykułów P. Mniszka, Przedrzymirskiego i dr. W. B.

Na artykuł p. Przedrzymirskiego piszę się od a do z — co do p. dr. W. B. to przypuszczam, że niepowodzenia jego z Schönauerem przypisaćby należało używaniu pocisków ekspanzywnych.

Pozwoliłbym sobie twierdzić, że ekspanza w małym kalibrze, a specyalnie w Schönauerze 6·6 mm., to dwa grzyby w barszcz. Wystająca z płaszcza część ołowiu sama się dostatecznie deformuje, zaopatrzona zaś ekspanzą nadto staje się czułą, jak to sam autor słusznie wywodzi i wskutek przedwczesnego rozkwitu traci siłę przebijania.

W jednym tylko wypadku ekspanza w małych kalibrach ma racyę bytu, a to przy pociskach o pełnym płaszczyku stalowym. N. p. przy 8 mm. pocisku pełnopł. ekspanza, 2 mm. szeroka a 13 mm. głęboka ma dawać znakomite rezultaty na łosie, niedźwiedzie itp. grubozwierza. Działanie tego rodzaju pocisków ekspanzywnych na zwierzynę ma mieć wielkie podobieństwo z działaniem torpedów japońskich na wojenne statki rosyjskie.

Relacye z tegorocznego rykowiska wspominają wiele o Schönauerach i ich znakomitem działaniu na jelenie, a jeśli mię pamięć nie zawodzi, nie ma skarg na tę broń, która jest jeszcze do dziś ostatnim wyrazem pod względem systemu zamknięcia i potęgi balistycznej.

Bardzo oryginalnem jest zapatrywanie p. dr. W. B., że kula trafiwszy na kości, udziela zmiażdżonym cząstkom tychże, częściowo swej własnej chyżości i one rozszerzają spustoszenie. Tego poglądu dotychczas w literaturze nie spotkałem a sądzę, że każdy się z nim zgodzi.

Nie podzielam stanowczo pesymistycznych zapatrywań wyżej wymienionego autora i p. Mniszka co do redukowanych mannlicherów.

Słusznie twierdzi p. Mniszek, że pociski małokalibrowe wtedy dopiero w zupełności odpowiadają pokładanym w nich nadziejom, jeżeli się nimi strzela z mocno zbudowanych sztućców, przy użyciu odpowiednio silnych ładunków prochu, (o ile możności bezdymnego).

Prawda, że redukowane mannlichery nie mają tej strasznej siły żywej (nie razancyi), co pełne naboje, ale działanie ich jeśli nie lepsze, to na pewne nie gorsze będzie od dawnych ekspressów a przytem celność strzałów znacznie większa, co znacznie ułatwia położenie zwierza.

Zresztą dziś są już w użyciu nawet do broni łamanej ładunki bardzo silne n. p. firma Brenneke w Suhl używa przy swych nowych drylingach do 8 mm., 2½ gr., zaś do 9·3 mm. — 3-go niemieckiego bezdymnego prochu.

Nawet do pełnych naboi używa się już sztućców łamanych. Widziałem pojedynczy sztuciec łamany, na oryginalne naboje wojskowe, nieznanego mi wyrobu, — strzelałem zaś sam z büchsflinty na flaszkowe naboje Schönauerowskie, wyrobu Hoiniga z Ferlach.

Redukowane mannlichery mają wprawdzie mniejsze ładunki prochu, ale też skrócone, a więc lżejsze pociski, to też pęd tychże byłby nieznacznie tylko mniejszy, gdyby nie to, że przez skrócenie pocisku maleje obciążenie przekroju poprzecznego, a przez to pocisk trudniej pokonuje opór powietrza, ale to na odległości prawidłowo myśliwskiego strzału nie wchodzi prawie w rachubę.

Chyżość pocisków zredukowanych mannlicherów dochodzi 600 m. na sekundę, co zupełnie wystarcza do wywołania w naczyniach krwio- i limfonośnych takiego ciśnienia, by te naczynia potrzaskały i by nastąpiło porażenie nerwów, głównie powodujące padanie zwierzyny z dymem.

Mannlichery redukowane zjednały sobie już spore grono poważnych zwolenników, a znany strzelec i znakomity myśliwy p. Pieńczykowski zmłynkował już niejednego dzika, jak zająca z 8 mm. redukowanych mannlicherów swego drylinga podwójno-ekspressowego.

Pozwolę sobie zwrócić uwagę czytelników na pociski aliażowe (Legierungs-Geschosse), które zwłaszcza przy użyciu płaszczyków papierowych i szwajcarskiego skrętu gwintów znakomite mają oddawać usługi.

Pewien wytrawny myśliwy, który już całe stada dzików wyprawił na lepsze żerowisko, zapewniał mię najuroczyściej, że dziki strzelane z 8 mm. ekspressa jego drylinga, rulowały jak zające, jeżeli je dobrze trafił. Nadmienił jednakże, że miało to miejsce przy użyciu pocisków aliażowych, — gdyż pociski o stalowym półpłaszczyku, przebijały dzika na wskróś i nie kładły w ogniu, gdy przeciwnie aliażowe nie przebiegały, ale kładły w strzale — a przecięcie kanału strzałowego wykazywało straszne spustoszenie.

Zgadzam się zupełnie z krytyką p. dr. W. B. co do zdania p. Mniszka o obojętności kształtu kuli i działaniu kul wojskowych o pełnym płaszczyku i nie wdaję się więcej w te kwestye, gdyż powyższy autor doskonale je omówił, natomiast śmiałbym co do wartości ekspanzy w pociskach małokalibrowych, stanąć po stronie p. Mniszka, co już wyżej zaznaczyłem.

Już w wielu, dawniej w „Łowcu“ umieszczonych artykułach o broni, spotkałem się z użyciem wyrazu „razancya“, nie odpowiadającem znaczeniu tegoż.

Razancya oznacza płaskość lotu kuli — a podręczniki wojskowe, traktujące o ballistyce zewnętrznej często mieszczą wyrażenie „*eine rasante Bahn*“ na oznaczenie płaskiej, wyciągniętej drogi lotu pocisku.

W artykule p. Mniszka spotykam po kilkakroć wyraz razancya w mylnem zastosowaniu n. p.: „a w ślad za tem i ogromna razancya, która jest jedynym powodem destruktywnego działania kuli“, lub — „tu zabija zwierza nie tyle ołów, co ta straszna razancya“ itd. jeszcze kilka razy w ciągu artykułu. To co p. Mniszek nazywa razancyą, zwie się „żywą siłą pocisku“.

W uzupełnieniu mego artykułu „o broni automatycznej“, zamieszczonego w pierwszym numerze tegorocznego „Łowca“ muszę nadmienić, że na niemieckiej kolonialnej wystawie łowieckiej w Karlsruhe, w r. 1903 wystawiła firma Jakób Sackreuter z Frankfurtu automatyczny karabinek myśliwski 8 mm., zastosowany do naboi, nadających pociskowi przeszło 500 m. chyżości początkowej.

Jest to nowy krok, zbliżający rozwiązanie problematu broni samoczynnej do celów łowieckich.

W wyżej wymienionym artykule, wkradły się do druku następujące pomyłki:

W wierszu 22. z góry wydrukowano „Dornus“ zamiast „Dormus“, — w 25. wierszu od gr. „Hromar“ zamiast „Kromar“, — „Naca“ zamiast „Vaca“ i „Odkalek“ zamiast „Odkolek“, we wierszu 40. z góry „rzeczoną lufą“ zamiast „rzeczoną rurką“ — zaś w uwadze, umieszczonej na dole pod *) w 3-im wierszu od dołu „razem 22.5 kg.“ zamiast „razem 32·5 kg.“

Lwów, dnia 23. lutego 1903.

M. R.

Z Tatr.

Nasze Tatry zdobi rozmaitość ładnej zwierzyny i jelenie już się zaczynają pokazywać, jest ich jednak jeszcze mało i nie chcą na polskiej stronie ryczeć. Pochodzą one wszystkie ze zwierzyńca księcia Hohenlohgo i podczas rykowiska przechodzą na stronę węgierską. Korzystając z pozwolenia udzielonego mi łaskawie przez hrabiego Władysława Zamoyskiego, wybrałem się 24. września do Zazadniej i słyszałem jak się rozlegał wspaniały ryk króla naszych lasów, ale niestety na stronie węgierskiej. U nas była cisza, widziałem kilka łań i słabego jelenia, ale żadnego dobrego jelenia ani nie napotkałem, ani nie słyszałem. Jakiego uczucia doznawałem słysząc ryk tych dla mnie niedostępnych jeleni, opisywać nie potrzebuję, bo to jest uczucie znane każdemu prawdziwemu myśliwemu, uczucie niespełnionych pragnień.

Wróciłem do domu wywarłszy mój gniew na dwa kozły, które się mi nawinęły i zastaje „*Łowca*“, a w nim już sprawozdania z rykowisk jeleni i wcale ponętne sprawozdanie p. Rylskiego z Norwegii. Już nie mogłem dłużej wysiedzieć w domu. Porozumiałem się zaraz o inne polowanie na mniej wspaniałego zwierza, ale zato rzadkiego i mającego tu nie mały powab dla myśliwego — na kozice. W ten sposób wśród wspaniałych widoków zapomniałem trochę o jeleniach i odgłosy ich ryku zatarły się w mej pamięci.

Podzielę się z towarzyszami myśliwymi memi wrażeniami, a może który ze szczęśliwych uczestników rykowisk odczuje to co ja, że pragnąłby i tam być.

Jak się zapatruję na ustawę o bezwzględnej ochronie kozic, to już miałam sposobność napisać w dawniejszym roczniku *Łowca* i cieszę się bardzo, że i teraz znajduję poparcie mego zapatrywania dążącego do zmiany tej.... ustawy. Nie wymienię przymiotnika, jakim tę ustawę określam, bo wypadłoby to bardzo nieparlamentarnie. Jak długo jednak taka ustawa istnieje i właściciele rewirów tatrzańskich mają kozice chować dla Węgrów i kłusowników, to nie pozostaje nic innego jak prosić o pozwolenie zapolowania na kozice na węgierskiej stronie.

Otrzymawszy zezwolenie zapolowania w Cichej dolinie, wybrałem się tam dnia 11. września. Przyjechałem do Zakopanego rannym pociągiem i wybraliśmy się we dwóch, z p. leśniczym Blchą jako kierownikiem naszej wyprawy z dwoma przewodnikami przez Goryczkową do Cichej doliny. Pogoda nieszczególnie nam sprzyjała, jednak doszliśmy sucho do Cichej. Na przygotowaniach do wycieczki zeszło nam w Zakopanem dosyć dużo czasu tak, że przeszliśmy granicę już o zmroku. Na nocleg wybraliśmy kolibę opuszczoną przez wolarzy, budowa jej była bardzo pierwotna. Daszek z kory świerkowej z jednej strony na ziemi oparty, boki korą zasłonięte a przód otwarty. Posłanie przyrządziliśmy z gałązek świerka, rozpalili ogień przed kolibą i przyrządzamy wieczerzę. Już podczas tego puścił się deszcz. który dowodnie wykazał, że daszek jest zły, nie było jednak blisko żadnej drugiej szopy, trzeba tedy było radzić sobie jak się da. Pozatykaliśmy szpary kawałkami kory a towarzysz mój na bardzo dobry pomysł wpadł, bo powiesił sobie garnek nad głową i w ten sposób zabezpieczył się przed kapaniem, które już biblia jako bardzo niemiłe uznaje, mówiąc „swarliwa żona jest jako ono ustawiczne kapanie z dachu“.

Zaprzeczyć się nie da, że noclegu takiego do najwygodniejszych zaliczyć nie można, ale na dobrze ułożonych gałązkach świerkowych, jeżeli się jeszcze ma pod głową gumową poduszeczkę, którą na wszelkie wyprawy łowieckie wożę, można się wcale dobrze przespać.

Rano się wyjaśniło i rozeszliśmy się, towarzysz mój ze swym przewodnikiem, a ja z nieodstępnym p. Blchą, którego jako znakomitego myśliwego na kozice uważam i na tem miejscu za towarzystwo dziękuję. Nauczyłem się p. Blchę już z poprzednich mych wypraw uznawać jako jedynego w swym rodzaju myśliwego na kozice. Słowak, syn leśniczego z Podbemskiej wychował się między kozicami, a że jest myśliwym już z pochodzenia, to jego największa namiętność; już jako student prawie całe wakacye polował na kozice i ma ich poważną liczbę na sumieniu. 12-ty był dobry dzień, bo miałem na wieczór różki z pięciu kozic w torbie i przeszliśmy na noc do Koprowej, żeby tam na drugi dzień polować. Trzynasty nie dopisał nam, bo od świtu była taka mgła, że nie było można myśleć o polowaniu, wróciliśmy tedy wśród deszczu i mgły do Zakopanego.

Drugi raz wybrałem się znowu w Liptowską Tomanową 27. września, żeby wśród szczytów gór i widoku kozic zapomnieć o ryku jeleni w Jaworzynie. Rezultat był dobry, bo zaraz pierwszego dnia zabiłem z trypletu 3 kozice. Celu jednak nie osiągnąłem, bo i teraz podczas pisania przypomina mi się jeszcze ten wspaniały ryk.

Polowanie na kozice bardzo cenię, już samo otoczenie, w którem się poluje, jest przepyszne. Przecież tyle

ludzi idzie w Tatry, żeby tylko nacieszyć oko tymi widokami, a myśliwy ma oprócz tych widoków jeszcze bardzo zajmujące polowanie.

Kto się nie boi trudów i niewygód, ma dobre płuca i nie cierpi na zawrót głowy nad przepaścią, ma dobrą broń i strzela jako tako, ten w terenie w którym są kozice, jeżeli mu pogoda dopisze, przy dobrym przewodniku nie wróci próżno do domu.

Najlepszy czas do polowania na kozice jest sierpień i wrzesień, kozice są już tłuste a czas jest jeszcze dobry i można śmiało iść w góry i przenocować pod skałą lub świerkiem.

Polować można z nagonką, na co jednakże dużo myśliwych i doskonałej i dobrze prowadzonej nagonki potrzeba, albo też w kilku myśliwych, którzy kozice z różnych stron zachodzą i nawzajem sobie naganiają. Tego systemu polowania, zwanego w Alpach „Gamsriegeln“, używają przeważnie kłusownicy zakopiańscy. Ja najwyżej stawiam podchód. Raz dla tego, że jest to sposób polowania, który w ogóle bardzo lubię, a powtóre, że przy podchodzeniu strzelec najbardziej jest samoistnym i nie tak łatwo może mu ktoś swojem nieodpowiedniem zachowaniem polowanie zepsuć, a jeżeli się mu nie uda, to musi sam sobie winę przypisać.

Przy dalekonośnej broni można kozice dosyć łatwo podejść, chociaż są ostrożne i mają doskonały węch i wzrok, bo zwykle można się za skały i kosodrzewinę kryć, lub też zachodzić z za grzbietu góry. Przy polowaniu w górach a tembardziej na kozice dopiero można należycie ocenić wartość dalekonośnej broni. Tu Manlicher-Schönauer 6·5 m/m. z lunetą, to broń dotąd niezrównana. Poluje prawie wyłącznie w górach i jak słyszę głosy bardzo poważnych myśliwych, którzy przeciw dalekonośnej broni występują a lunetę potępiają, to zawsze gotów jestem do opozycyi.

Liczę się z każdym zdaniem i jeżeli się znajdzie amator, który mi powie, że cała jego przyjemność polega na bezpośrednim zbliżeniu się do zwierza, to poradzę mu, żeby broni palnej wcale nie używał, tylko zadowolnił się oszczepem i łukiem, a nazwę go w przeciwstawieniu do opisanego w *„Łowcu“* Postępowskiego, który niewidzialne jelenie strzela z wieży swego zamku — Zacofańskim.

Kto jest w tem szczęśliwem położeniu, że z czasem się liczyć nie potrzebuje, ten niech się obchodzi bez lunety, bo przecież każdy przyzna, że na zabicie jednej i tej samej ilości zwierzyny przy zresztą równych warunkach, daleko więcej czasu potrzeba, jeżeli się strzela nie dalej jak na 190 kroków, niż wtedy, jeżeli się strzela do 300.

Strzał z Schönauera z lunetą na 300 kroków jest równie pewny jak ze zwykłego sztućca na 100 a działanie kuli znacznie silniejsze. Używanie Schönauera bez lunety nie ma celu, bo bądź co bądź musimy się liczyć w otwartym terenie z niebezpieczeństwem tak dalekonośnej broni, a wzrok zwykłego człowieka nie jest dostatecznie bystry, ażeby zalety dalekonośnej broni wyzyskać i przy większych odległościach ocenić drobne różnice oświetlenia muszki i mierzyć tak dokładnie jak osią optyczną dobrej lunety.

Zwrócę jeszcze uwagę na jedną nadzwyczaj dla myśliwego ważną zaletę lunety, to jest, że można strzelać przy bardzo słabem oświetleniu a nawet podczas jasnej nocy. Strzelałem w tym roku przy pierwszym brzasku dnia do trzech głuszców i wszystkie spadły przez sam środek kulą przeszyte.

Strzał przez lunetę nie jest znowu tak bardzo łatwy i z własnego doświadczenia wiem, że nawet i na bardzo bliską odległość chybić można. Nie mogę niestety dużo czasu na polowanie poświęcać, a wolę wracać z zieloną gałązką za kapeluszem, jak bez niej. Dlatego z moim Schönauerem 65 m/m. ze Springerowską lunetą się nie rozstanę, naturalnie dopóki czegoś lepszego nie wynajdą. Radzę każdemu, komu dobrze życzę, żeby sobie taki kupił, bo jak będzie dobrze mierzył, to trafi na 100 kroków w pięciokoronówkę a na 300 w denko swego kapelusza.

Broń dalekonośna nie wyklucza podejścia zwierza blisko a kto może zwierza bliżej podejść a strzela na 300 kroków lub nawet dalej, ten nie jest myśliwym.

Zaznaczywszy moje zapatrywanie na broń dalekonośną, wracam do kozic. Kozice trzymają się między górną granicą drzewostanów a szczytami gór. Gdzie więcej dobrych traw i spokój, tam ich najwięcej. Jak się dojdzie w ich siedlisko, trzeba przedewszystkiem nie wychodząc z ukrycia, przeglądnąć otaczający teren. Punkta podobne do kozic ogląda się przez lornetę, a tu dobra lorneta i wprawne oko dużo znaczą. Kozicę, jeżeli spokojnie stoi, a tem bardziej jak leży, trudno wypatrzeć, trudniej jak jest jeszcze w letniej szarej sierści, łatwiej jak już czarny zimowy włos przebija. Żerują podobnie jak sarny rano i wieczór i wtenczas najłatwiej je wypatrzeć, bo chodzą.

Często widzi się równocześnie na terenie więcej stadek kozic. Tu doświadczony przewodnik radzi, które podchodzić i którędy iść. Nieraz ma się kozicę blisko a nie strzela się, bo jest bezpośrednio nad przepaścią i albo całkiem się rozbije, albo też nie możnaby po nią dojść, bez narażenia się na niebezpieczeństwo.

Uwzględniając wiatr i kryjąc się o ile możności cicho staram się do kozic zbliżyć. Często nie można wybierać dogodniejszej lub bliższej drogi i trzeba się złemi miejscami przekradać. Odpowiednie obuwie oddaje tu doskonałe usługi, trzewiki z filcową podeszwą są stanowczo najlepsze, bo i na skałach można cicho iść i na trawie się dobrze utrzymać. Gumy są dobre na skałach, ale na mokrej trawie niemożliwie ślizkie, a trzewiki kute robią na skałach dużo hałasu, chociaż na trawach są bardzo dobre.

Ciężka to jest przeprawa, jeżeli trzeba jakiś kawałek przejść otwartem miejscem, kozice bowiem mają swoją wartę. Jedna z żerujących zwykle stara koza, a rzadziej cap, bardzo się mało pasie, stoi na wyższem miejscu, rozgląda się naokoło, wietrzy i nadsłuchuje, czy nie ma jakiego niebezpieczeństwa. Z wartą najbardziej się trzeba liczyć i jeżeli przyjdzie iść jakiś kawałek otwartym miejscem, to nie ma innej rady, tylko trzeba patrzeć przez lornetę, gdzie ma zwróconą głowę. Jeżeli kozica trzymająca wartę się odwróci, to można się posunąć naprzód, jak się patrzy, to trzeba stać spokojnie i możliwie się kryć. W ten sposób uda się wartę oszukać, byle bardzo ostrożnie się posuwać i mieć ubranie zbliżone kolorem do skał, ale na większą odległość, inaczej bowiem bystry wzrok kozicy ostrzeże ją o niebezpieczeństwie. Wpatruje się w podejrzany punkt uporczywie, wietrzy, nadsłuchuje, a jak się upewni o niebezpieczeństwie, daje znak gwizdnięciem, które u capa do „psz“ się zbliża, a u kozy jest wyższe. Jeżeli się jest na odległość strzału, to jest to i dla myśliwego znakiem, że trzeba strzelać, bo kozice przestają się paść, rozglądają się małą chwilkę i uciekają.

Podchodząc ostrożnie i w dobrych warunkach można doskonale podejść. To jest najmilsza chwila polowania, wygląda się ostrożnie z za skały tak, żeby tylko oczy po-

kazać, ogląda spokojnie żerujące kozice, przygotowuje broń i wypatruje, które są dobre capy.

Capa poznać to nie jest tak łatwo, kozy i capy mają rogi i to prawie równie wysokie, o jakimś pędzlu nawet mowy nie ma. Oznakami prawdopodobnemi capa jest szersze rozstawienie rogów i jaśniejszy odcień żółtej plamy na pysku, która u młodej kozy jest żółta a u starego capa prawie całkiem biała, ale za to u starej kozy i u młodego capa odcień jest całkiem równy. Rozstaw rogów jest też znakiem nie pewnym, bo chociaż zwykle capy mają silniej rozchylone rożki a kozy prawie równoległe, to jednak sam mam rożki kozy, które mają rozstaw 14 ctm.

Pewnemi oznakami jest jedynie budowa szyi, która u capa jest grubsza i krótsza podobnie jak u rogacza, chociaż różnica jest mniej wybitna, dalej grubość rożków, oraz ich zakrzywienie. Capy mają rożki grubsze i silniej zagięte. Żeby się uchronić od niemiłych pomyłek, trzeba doskonale patrzeć i mieć dobrą lunetę i starać się o ile możności zobaczyć głowę capa z boku, bo łatwiej ocenić zakrzywienie, niż grubość rożków.

Podszedłszy stadko, wypatruje się przedewszystkiem capy, a jeżeli się jest z dobrym przewodnikiem, to bardzo dobrze jest, żeby obaj capy zapamiętali. Jak się już całkiem przyjdzie do siebie i ochłonie z wrażenia i zmęczenia, żeby być pewnym strzału, strzela się również z ukrycia do wybranego najlepszego capa. Po strzale robi się zamięszanie w stadku. Jeżeli strzelec i przewodnik byli skryci i nie pokazali się po strzale, to kozice przy prochu bezdymnym nie wiedzą, gdzie mają uciekać i co zrobią kilka skoków, to na kilka sekund stają i rozglądają się tak, że widząc, które są capy, można jeszcze strzelić do drugiego a nawet i trzeciego capa, byle naprzód go mieć poznanego, bo potem jak zaczną uciekać, już na to czasu nie ma i zaledwie dobrze złożyć się można.

Kozica jest twarda do zabicia, nawet z dobrym strzałem kawałek pójdzie, ale za to i z lichym strzałem się pokłada tak, że można ją dojść i dostrzelić z większej odległości.

Kozice strzelane we wrześniu mają lichą skórę, bo się właśnie lenią, ale są za to tłuste i wygodnie na nie polować. Ma się z nich rożki i mięso, które z młodszego capa jest bardzo dobre, szczególnie comber jest równie dobry jak z rogacza. Bardzo dobry jest również rosół z kozicy, nie jadłem go w domu, ale w górach jest doskonały i nie czuć go zupełnie baranem ani kozą.

We wrześniu kozy się lenią i zaczynają podbijać ciemnym zimowym włosem, który przez październik i pół listopada rośnie tak, że z końcem listopada i przez grudzień jest już włos zimowy pełnej długości. Jestto też pora w której strzela się capa na „Gambsbart“. W słowniku łowieckim wyrazy mają inne znaczenie i bardzoby się oszukał, ktoby chciał szukać brody u zimowego capa. Kozice mają w zimie na całym tułowiu długi ciemny włos a najdłuższy na grzbiecie. Brodę ma cap nad łopatkami. Kozy mają na grzbiecie mniej wydłużony włos, niż capy. Są to te same włosy, które zagniewany pies jeży. Długość dobrej brody capa dochodzi nawet do 20 ctm.

Polowanie na kozice w zimie jest trudniejsze, bo chociaż kozice w zimie schodzą czasem znacznie niżej, to i tak trudno się do nich dostać i tylko wtedy można do nich dojść, jak albo śniegi są bardzo małe, albo też tak zatwardną, że można wierzchem chodzić. Ślicznie odbijają czarne kozice na białym śniegu i widać je na znaczną odległość, ale za to i one widzą myśliwego.

Bekowisko czyli ruja kozic, wypada na listopad, wtenczas cap zajęty wyłącznie wyszukiwaniem kóz zapomina swej zwykłej ostrożności i znacznie łatwiej go podejść. W listopadzie cap chudnie, mięso jego jest niesmaczne, brody jeszcze nie ma, a do tego listopad to już niemiły miesiąc na wycieczki w góry, dlatego też nie powinno się wtenczas wogóle na kozice polować.

Polowanie na kozice na podchodnego, to jedno z najładniejszych jakie znam. Mam nadzieję, że przecie raz przyjdzie do zniesienia tej nieszczęsnej ustawy, tak zwanej bezwzględnej ochrony kozic, a łowiectwu naszemu przybędzie nowa ozdoba.

Raba wyżnia, w grudniu 1903.

Dr. Jan Zduń.

Korespondencye.

Krukienice 18. stycznia 1904.

Zaprowadzenie kart myśliwskich było celem przeszkodzeniu kłusownictwu. Cel ten nie osiągnięty i owszem zupełnie chybiony. Kłusownik nie starał się nigdy o pozwolenie i obecnie starać się nie potrzebuje. Jest to poprostu dobrowolny podatek na się nałożony, jak byśmy mieli ich za mało, a na dodatek, ci właśnie, co płacą karty myśliwskie, bywają niepokojeni i napastowani w czasie polowania. Żandarm idzie poprzed linie strzelców i rewiduje karty, a który przypadkiem zapomni, zabiera mu strzelbę, padł więc ofiarą ten, co kartę zapłacił, bo ten, co jej niema, żandarmowi się nie pokaże. Czy nie byłoby na to innego sposobu, więcej szlachetnego, n. p: c. k. starostwo powinno dać c. k. żandarmeryi wykaz posiadaczy kart, z oznaczeniem czasu, na który są wystawione, wtedy żandarm, znając w powiecie każdego, nie potrzebuje rewidować, a dowiedziawszy się, że polował ten, który nie ma karty, może skarzyć go sądownie a tylko obcych gości, których nie zna miałby prawo pytać o legitymacye, za które zresztą odpowiada właściciel, bo pytam dlaczego ten obywatel, który zapłacił wszystkie należące podatki, dodatki i jeszcze dodatki do podatków, kartę na broń, kartę polowania i t. d., ma być na swojem terytoryum, napadany, niepokojony, rewidowany i w swojej pracy, czy urządzeniu jakiejś zabawy niepokojony, — a nawet w ten sposób władze mogłyby wywierać swoją osobistą niechęć na właścicielu.

Możeby Redakcya „Łowca“ zechciała łaskawie to moje zapatrywanie umieścić w łamach pisma swego, a byłaby bardzo pożądana zmiana, w wykonaniu rewizyi kart przez żandarmów w ten sposób, ażeby mieli ewidencye posiadaczy kart myśliwskich *).

Jan Ostrzechowski.

*) Według wiadomości *Redakcyi*, żandarmerya nie ma polecenia zabierania broni tym myśliwym, którzy nie mają przy sobie karty łowieckiej, lecz ma obowiązek zapisywania nazwy myśliwych i przedstawienia ich do ukarania c. k. Starostwu. Ma prawo zabierać broń nieposiadającym paszportu na broń. Co do sprawy zabierania broni nie mającym przy sobie karty łowieckiej myśliwym, jak również co do sposobu i pory, kiedy ma żandarmerya pytać się o karty, należałoby zdaniem naszem udać się do właściwego c. k. Starostwa, które nie odmówi udzielenia odpowiednich informacyi żandarmeryi.

Chudykowce nad Dniestrem, 18. stycznia 1904.

Dnia 11., 12. i 13. b. m. odbyło się w Sapohowie u ambasadora hr. Tadeusza Koziebrodzkiego trzydniowe polowanie, śliczne swoim rezultatem tembardziej, że polując przy 18° mrozie z wiatrem, otuleni w futra i rozmaite inne ciepłe rzeczy, strzelaliśmy dość licho. Rezultat ogólny był: 1 dzik, 9 rogaczy, 351 zajęcy i 3 bażanty. Z dzikami dziwnie nam się nie wiodło. Pierwszego dnia 29 dzików w jednym obtropione miocie, uderzają na flankę i strzelane śrótem przez naszych strzelców zdrowo uchodzą, ku ogólnemu naszemu rozczarowaniu. Ha! trudno, gościnny gospodarz zrobił co mógł, nie jego wina, że się nie udało.

Resztę dnia poprzestać musieliśmy na drobnej zwierzynie, pocieszając się, że może w drugim dniu Św. Hubert będzie na nas łaskawszy. I rzeczywiście, w tym samym co wczoraj miocie, mamy znowu 15 dzików. Musi się powieść! My sami obstawiamy i flanki i główną linię, oczekując dziś już na pewno, że na wybrańca losu dziki uderzą.

Niestety! sprawdziło się przysłowie: „człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi“ i teraz los nielitościwie z nas zadrwił. Dziki ruszać nie chciały, a parte przez nagonkę wraz z nią ukazały się na jednej flance, tak pomieszane z nagonką, że strzały były trudne, wprost prawie niemożliwe, toteż znowu uszły szczęśliwie. Ciągłe nawoływania nagonki, ostrzeżenia przed ruszonymi dzikami, które jednak na linii bojowej ukazać się niechciały, doprowadziły nas do stanu podrażnienia i chyba temu tylko przypisać mogę, że dobrzy nawet myśliwi, dziki pochybiali. Ja jeden na tyle byłem szczęśliwy, że jedynego reprezentanta rodu dziczego ubiłem. Niestety — jak na urągowisko, dziczek mój był mało co większy od zająca.

Szkoda, że takiemu tylko dostała się expresowa kula i strzał w komorę, gdy dość dla niego byłoby zaszczytu, gdyby był śrótem poczęstowany. Fortuna widocznie, ogonem do nas się obróciła. Nie powiodło się z dzikami, to prawda, lecz za to drobna zwierzyna gęsto padała ku chwale gospodarza. A jak potem myśmy się bawili, korzystając z serdecznej jego gościnności, to już nie wspomnę. Sami młodzi, dobrze znajomi, przyjaciele lub krewni, spędzaliśmy wieczory serdeczne i ciepłe, przy dźwiękach muzyki na miłych chwilach, wesołych pogadankach. Niedługo kończy się już nasz myśliwski karnawał i jeżeli wszyscy z żalem powiesim strzelby na kołku, czekając aż wiosna litościwa dla wybrańców losu przyniesie znowu słonki, lub toki na głuszce i cietrzewie w dalekich stronach, to niemniej wszyscy, zachowamy w pamięci jako miłe wspomnienie, urocze chwile spędzone w Sapohowie, pocieszając się bodaj nadzieją, że kochany gospodarz, na przyszły rok o nas pamiętać zechce.

Z Sapohowa pojechałem do pp. Władysławów Boguckich, korzystać z łaskawego ich zaproszenia do Czarnokoniec i Kociubińczyk.

Tu jednak łamię moje pióro, odstępując naturalnie pierwszeństwo sprawozdania delegatowi danego okręgu, a tylko serdeczne „Bóg zapłać“ przesyłam gospodarstwu, dziękując im za urocze chwile spędzone z ich łaski, wśród pól i lasów pod sztandarem Św. Huberta.

Na zakończenie nie mogę milczeniem pominąć polemiki, jaka się wywiązała w ostatnich N-rach *„Łowca“*, wskutek mego artykułu o Niemcach i Czechach. Pisząc ten artykuł, nie miałem wcale na myśli ganić wszystko co nasze a cudze chwalić, ani tem mniej bawić się w dysputy prawie politycznej natury i to w organie *„Łowiec“*, bo uważam, że pismo to, powinno mieć co innego na celu. Pisząc mój artykuł, oddałem należną pochwałę tym, których zabiegi i pracę widziałem i umiałem ocenić. Nie przeczę, że będąc zamiłowanym myśliwym, mając w dodatku dużo czasu, lub wyłącznie oddając się łowiectwu, można i z naszych ludzi wyrobić dobrych gajowych, jednakże wymaga to dużo kosztów i pracy, a często absorbuje wiele bardzo czasu, którego nie mamy zanadto do zbycia, żyjąc w tak ciężkich dla rolników czasach.

Jeden z czcigodnych korespondentów *„Łowca“*, w ostatnim numerze, nietylko Niemcom i Czechom nie przyznaje żadnej umiejętności i znawstwa, ale cytując przykłady, wręcz ich potępia. Inaczej przypuścić nie mogę, jak, że szanownym korespondentem kierują li tylko względy patryotyczne. Patryotyzm w miarę cenię i szanuję. Ja sam jako polak, niemców zbytecznie w sercu nie noszę; możemy ich nie kochać, to nawet słusznie, ale jako myśliwych, musimy ich cenić i szanować. Wszak mi nikt nie zaprzeczy, że oni właśnie polowania i łowiectwo do najwyższej kultury doprowadzili. Jakżeż więc zaprzeczać im wszelkiej umiejętności i znawstwa?! (? Red.).

Nie ma to pewno, reguły bez wyjątku — a więc i między nimi znajdują się nieuki i wydrwigrosze, wędrujący do nas, by korzystać z naszej łatwowierności; ale tak w czambuł wszystkich ich ganić, wszystkiego im zaprzeczać nie można.

Pan ordynat Czarkowski-Golejewski w artykule swoim w *„Łowcu“* z dnia 16. b, m. podnosi kwestyę bażantów, puszczonych w naszej okolicy i dziwi się, że mimo usilnych starań i zabiegów, hodowla nie idzie mu po myśli. To samo niestety powiedzieć muszę o Giermakówce i Sapohowie. Jedne Kolendziany wychodzą dość obronną ręką, przypuszczam dlatego, że nie poprzestając na hodowli na dziki, założono tam bażantarnię i tem zasilają etat leśnych a raczej dzikich bażantów.

Za wiele u nas jeszcze lisów, za wiele sąsiadów, niestety przeważnie żydów, którzy, choć nie wszyscy sami jeszcze polują, pozwalają całym bandom „Sontagsjägerów“ bezkarnie polować na swoich gruntach. A tych panów, nie obchodzi naturalnie ani czas ochrony, ani rodzaj zwierzyny.

Bażant! — to nowość w naszej okolicy. Wychowany z trudem i kosztem, przez tych co go sprowadzili, może być pewnym śmierci, jeśli tylko przeleci granicę swego rewiru i dostanie się na terytorya pobliskie, naszej braci szlachty mojżeszowego wyznania.

Wśród naszego prowincyonalnego świata jest wielu bardzo takich, co mogą danemu właścicielowi pomódz lub zaszkodzić, za to polują na jego gruntach, więc póty jeżdżą, póty szukają, aż biedny bażant paść musi ofiarą.

Niedawno temu na terytoryum w Olchowcu żyda Hafnera, ukazał się bażant. Wnet o tem wszyscy wiedzieli. Cała Mielnica, sąsiednie miasteczko, szykuje się na wyprawę! Jak na wilki lub niedźwiedzie robią obławę na biednego bażanta. Jakaż to radość potem, gdy padnie ten bażant i cudzym wychowany kosztem, zdobi stół takiego strzelca.

Iluż wtedy gości spraszają na ucztę z bażantem, ile tematów do rozmów, podczas długich zimowych wieczorów.

W takich stosunkach, jakżeż tu myśleć, by bażant, ten ptak wędrujący, mógł u nas spokojnie się chować, — pomyślnie się rozwinąć.

A szkoda! bo to ptak królewski, — tak piękna naszych lasów ozdoba. *Jul. Dunin Borkowski.*

Jaryczów 25. stycznia 1904.

Na polowaniu w Jaryczowie u p. Waleryana Krzeczunowicza, niestety nie podzielała zwierzyna tym razem gościnności, z jaką sam gospodarz przyjmuje i mimo ślicznego jej tam zawsze stanu, tylko 30 zajęcy i 5 kozłów wysłała na stracenie. I myśmy się swoją drogą dzielnie do tego przyczynili, że rozkład nie był dwa razy liczniejszy, a jako przykład podaję pewnego nemroda, który te słowa pisze: jedyne dwa lisy wyszły na niego i..... poszły „wesoło“ roznosząc sławę dobrego strzelca. — Śliczna to kniejka i niezmiernie miłe wywozi się wspomnienia z pobytu i polowania w Jaryczowie.

Teraz...... wisi już strzelba na kołku! Myśliwy z tęsknotą spogląda na pola i lasy..... czerniejące w dali i ledwo jedne strzały umilkły, on już marzy o przyszłym sezonie, przyszłych swych wielkich tryumfach, rzucając w kąt wspomnienia, jako grat niepotrzebny mu już. — Ot! zwykła niewdzięczność ludzka!

C. C. G.

Rzemień, dnia 1 lutego 1904.

28, 29 i 30 Stycznia polowaliśmy w Sokołowie, Glinnie i Zaleszczykach m.: — rewirach należących do p. Władysława Boguckiego.

27-go po dobrym obiadku na dworcu kolejowym w Buczaczu, ruszyliśmy w pięć powozów (gospodarz, pułkownik Weiss, Tadeusz Potocki, hr. Ludwik Koziebrodzki, Jakób Siemiginowski, hr. Juliusz Dunin Borkowski, hr. Feliks Korytowski, Zdzisław Szaszkiewicz i podpisany brat jego) do Sokolowa, o 14 klm. od Buczacza odległego. — Czas śliczny, — na horyzoncie zarysowują się już knieje sokołowskie, a każdy z nas marzy tylko o dobrem spotkaniu, bo jutro mamy tu właśnie łowy rozpocząć. Nagle stajemy, zatrzymani poprzedzającym nas powozem. Widzę, z renów wysuwa się szybko jeden z towarzyszy, czemprędzej z zadziwiającą zgrabnością nabija sztuciec, strzela — a w tem lisiura — na 200 może kroków, nie wiele sobie z tego robiąc, przysiada na roli, oczekując celniejszego strzału; po chwili pada strzał drugi, na jakie 300 kroków, doskonały, bo tuż, tuż, obok — no i pojechaliśmy dalej — bez lisa.

Wreszcie wjeżdżamy w szeroką aleję topolową, — to dwór zapewne Sokołowski; za chwil parę wita nas p. Jahn, dzierżawca Sokołowa, a kilku leśniczych czeka już, by zdać raport gospodarzowi o planie polowań, o otropionych dzikach i t. p., każdy z nich przedkłada szkic swego rewiru z porządkiem miotów, — może tak, a może tak lepiejby było? — i tak w gwarnem towarzystwie miło jakoś i swobodnie czas nam prędko zeszedł. Po kolacyi i trzech robrach „bridgea“ nadchodzi pora spoczynku — wszyscy mimo czarnych zapowiedzi gospodarza, bardzo wygodnie, może nawet zanadto — zajmują swe polowe łóżka, — no i po chwili nastaje cisza, przerywana od czasu do czasu miarowem chrapaniem.

Ze wschodem słońca wchodzi Daniel z herbatą, czas wstawać! — strzelby i sztućce z futerałów każdy wyjmuje, godzina 9-ta, siadamy na sanie i ruszamy. Za parę minut stajemy pod pierwszym miotem, w którym tylko do dzików gospodarz nam strzelać pozwala, (otropiono 32 sztuk), każdy z bijącem sercem, na przeznaczonem mu stanowisku staje, wzdychając do św. Huberta. Nagonka rusza, strzały z pistoletów padają, tu lis, tu znów zając lub sarny, co chwila przez linię przemykają — w gąszczach słychać coraz to lepiej znany nam dobrze szelest i trzask, — każdy powtarza sobie: „idą...“ trzyma za express i czeka... padają strzały ciche a ostre — wspaniała sztuka przesadza linię — pada strzał jeszcze i w tej chwili rozlega się na lewej flance istny ryk, dziki uderzają na nią — no i jak zwykle przełamują ją, wynosząc się do sąsiednich miotów. Bierzemy miot drugi, trzeci i czwarty, w każdym dziki były — ale gąszcze, a szczególniej okiść straszna tłumaczą niepowodzenie z nimi — ale za to, co za pukanina do innych mieszkańców wspaniałej tej kniei, to chyba dowodem tego — poważny rozkład.

Wieczorem po obiedzie krytyka, wymówki — ś. p. p. Manlicher rady zapewne sobie dać nie może, jak jego „halbsthlamantle“ tego dnia się spisały. Wuj twierdzi, że dobrze, bo... zrulował w ogniu (ale bez skutku), ale jak za to ejektory fungują! i t. d. i t. d.

Drugiego dnia wyjeżdżamy do Glinnej drogą, wijącą się cudowną serpentyną przez ścianki nad Strypą — trochę wprawdzie karkołomną, ale za to wspaniałą. I w tym rewirze dziki były w kilku miotach, lecz niestety zabiegi wszelkie kończyły się raportem: „wyszły flanką“, lub „uderzyły na nagonkę“. Za to stan sarn imponujący. Wieczorem dnia tego straż leśna przywiozła ładnego wycinka z rewiru „Sokołów“. Był to postrzałek z dnia poprzedniego.

Trzeciego dnia wyjeżdżamy do Zaleszczyk, malowniczą bardzo, ale też i niebezpieczną drogą. Nie obeszło się też i bez wypadku, bo zjeżdżając ze stromej bardzo góry — sanie (niekute) tak „poszły w zatokę“, że swym ciężarem ściągnęły konie w przepaść kilkusetmetrową; na szczęście jadący na nich gospodarz i pułkownik Weiss, zdołali w ostatniej chwili ze sani zeskoczyć, koniska zaś biedne potoczyły się w dół tak szybko i tak fatalnie, że zdawało się, że są stracone, dzięki jednak opatrzności przedewszystkiem, a potem zgrabności Wuja i Króla, udało się nam na stromej ściance toczący się zaprząg zatrzymać i uratować. Około 10-tej stanęliśmy w Zaleszczykach m. Czas prześliczny, tylko okiść straszna. Pierwszy miot tuż za dworem dał nam na rozkładzie trzydzieścikilka zajęcy i lisa; nieprawda, piękny rezultat? — choć strzałów padło co najmniej 90. Przejeżdżamy do rewiru naprzeciw dworu położonego; tu widok wzorowej gospodarki w lesie — dla strzelca nie zawsze może dogodnej — pozwala nam przypuszczać, że t te mioty nie będą gorsze od pierwszego. Stojąc już na stanowisku, każdy rzuca okiem, to w prawo, to w lewo, nie wiedząc, w którą stronę baczniejszą ma zwrócić uwagę, na linii wysadzonej gęsto świerkami, jak w kalejdoskopie, co chwila okazuje się to zając, to rogacz, to lis, a zanim człowiek się złoży, to już zaledwo kitę się ujrzało — a częściej i tego się nie dojrzy. Mimo to strzelanina straszna, echo brzmi jednym przeciągłym hukiem, to piekło! nie, to raj! sobie pomyślałem.

I tu mieliśmy w trzech miotach dziki, nawet zaglądały do lufek „Manlichera“, chcąc powąchać bezdymnego prochu — no, ale zapewne niegodne były strzału późniejszego króla lub królowej (jak kto woli), poszły więc obrażone. Wieczorem Daniel (strzelec) spis wykreśla z następującym rezultatem: 1 dzik, 9 lisów, 12 rogaczy, 233 zajęcy i 1 sojka; gospodarz zaś ze względu na rodzaj a nie na ilość ubitych sztuk oddaje berło królewskie hr. J. Borkowskiemu. Szczęśliwy...

Kończąc to sprawozdanie, nie pozostaje mi nic innego, jak jeszcze raz imieniem wszystkich najserdeczniej

podziękować wielce łaskawemu na nas gospodarzowi, za tak mile spędzonych dni kilka — zachowując w sercach naszych wdzięczność za „*już*“, a prosząc bardzo o „*jeszcze*“.

Gustaw Szaszkiewicz.

Chudykowce, 2. lutego 1904 r.

„Wspomnienie — to cicha nuta
Wyjęta z tonów przeszłości;
Wspomnienie to nić wysnuta
Ze złotej tkanki młodości“......

Skończony nasz myśliwski karnawał, koniec naszych polowań. Pierwszy lutego — to pożegnanie z knieją i lasem. Św. Hubert zwija swe sztandary, milkną strzały i trąbek grania. Myśliwska drużyna powraca do domów; ten syty chwały, ów nie miał szczęścia, więc niezbyt kontent; lecz wszyscy z żalem schodzą z tego pola, gdzie tyle czasu razem przetrwali. W ciszy wieczornej mego ogniska chwytam za pióro, a w uszach wciąż dzwonią jak echem wspomnień — wesołe chwile w kniei spędzone i mącą myśli. Wszak tyle wspomnień i tyle wrażeń ciśnie się pod pióro!

Czyż nie piękniejszy stokroć nasz karnawał w kniei; od rana do nocy wśród lasów i pól, wśród piękna natury, swobodnie i bez trosk, niż w dusznej sali balowej, w niezdrowej atmosferze ludzkich ambicyi, pragnień i pożądań?

Tam wolność! — świat piękny, szeroko otwarty — tylko Bóg nad nami! Tu, form bez liku, światowych konwenansów, nieraz złość ludzka lub zawiść, fałsz i obłuda pod słodką, układną maską ogłady. Wszystko niestety swój koniec mieć musi, a wszystko co piękne, co drogie lub miłe, to jeszcze krótsze, trwa tylko chwilę.

Trzy dni ostatnie spędziłem u pana Władysława Boguckiego, polując w jego rewirach, w okolicy Buczacza i Jazłowca. Pierwszego dnia polowaliśmy w Sokołowie przeważnie na dziki, lecz choć było ich wiele w każdym miocie, prawie bezskutecznie. Dwa dni następne w Glinnem i Małych Zaleszczykach. Jakiż uroczy dojazd do tych rewirów. Droga wśród gór i jarów, z łomów kamieni, wertepów i przepaści, wije się krętą serpentyną. Okolica trąci już Karpatami. Parę kilometrów szosy; jedyny znak cywilizacyi, torującej sobie żmudną i kosztowną drogę szpadlem i kilofem. Dalej już dzicz zupełna, urwiska coraz większe. Droga niemożliwa wije się wąskim pasem ponad przepaścią, a na dole Strypa. Drogę odbywamy częścią i piechotą, bo pod górę konie ledwo wydrapać się mogą, a z góry to sanie się luzują tuż ponad przepaścią. W najgorszem miejscu, jedne z naszych sań zaczynają jakiś dyabelski taniec, a chwilę później, konie, sanie i nasze strzelby runęły w przepaść w szalonych koziołkach.

Skończyło się jednak dosyć szczęśliwie. Strzelby wyszły bez szwanku, tylko konie i sanie nieco ucierpiały. Pozbierawszy to wszystko jako tako, zostawiliśmy furmana z pokaleczonymi końmi na łasce Opatrzności i gnieżdżąc się jak mogąc na pozostałych saniach, ruszyliśmy dalej i już szczęśliwie minąwszy Jazłowiec wydostaliśmy się na równiny. Dziki znowu robią nam zawód. Są w każdym miocie prawie, lecz wychodzić nie chcą i wracają na nagonkę, która wskutek ogromnej okiści z trudem tylko się porusza. Ostateczny rezultat jednak piękny, mamy: dzika, 15 rogaczy, 9 lisów, 243 zajęcy i sojkę, którą w dowód uznania, jako berło królewskie ofiarujemy naszemu zwycięscy p. Szaszkiewiczowi z Rzemienia.

31-szy, to niedziela, a choć ostatni dzień polowań, nie mamy w kniei co robić, więc pożegnawszy kochanego gospodarza, dziękując mu za tak miłe chwile pod gościnnym Jego dachem spędzone, z prawdziwym żalem wracamy do domu.

Po tak gwarnym, ruchliwym sezonie nastała cisza. Dziwnie pusto i głucho. Jak fata morgana snują się tylko przed oczyma różne obrazy, głosy i dźwięki. Więc znowu widzę las, śniegiem, jak białym całunem przykryty, cały poważny i cichy, to znów za chwilę pełny zawieruch. Słyszę wciąż jeszcze trąbki, co grają pobudkę i liczne strzały, głosy naganiaczy, wesołe gwary myśliwskiej drużyny. Lecz to sen tylko, albo jeszcze echo! Dziś tylko cisza. A choć też czasem ucho twe posłyszy dziwny jakiś hałas, lub przed twem okiem jakiś ogień błyśnie, — wierz mi — to sen tylko! Całym dziś gwarem i całym hałasem, to wycie wiatru po framugach dachu, a w miejsce strzałów, z fajki tylko iskra tryśnie lub strzeli głośniej ogień z kominka.

Trzeba wracać do codziennego trybu życia, do przerwanej pracy. Miłe jednak chwile zostaną w pamięci; więc tym wszystkim, którzy łaskawie o mnie pamiętali, jeszcze raz sercem całem dziękuję.

Jul. Dunin Borkowski.

Kosianówka, 5. lutego 1904.

Dnia 25. stycznia b. r. polowaliśmy w 7 strzelb w Bucniowie, u pana Teodora Serwatowskiego. W kilku godzinach znalazło się na rozkładzie 7 rogaczy i 31 zajęcy. Rezultat to ładny, ale rozkład byłby jeszcze większy, gdyby nie odwilż i śliczna pogoda, wskutek której wszystek zwierz był w polu.

Szanowny gospodarz po polowanin pozwolił nam pojechać na łan rzepaku i pszenicy, aby zobaczyć jak wygląda u niego stan sarn. Po przybyciu na miejsce śliczny ujrzeliśmy widok, przeszło 300 sztuk sarn, w mniejszych i większych grupach na rzepaku się pasło; taki zwierzostan może być tylko w Bucniowie, gdzie go gospodarz staranną opieką cały rok otacza i nie szczędzi kosztów, (u nas bardzo wysoko się płaci za szkody, przez sarny wyrządzone), a pewnie nie małe są szkody, gdy w lecie kilkaset sarn w polu po zbożach harcuje, nie mówię już nic o tym rzepaku, na którym sarny całą zimę w tej ilości przebywają, Wyjeżdżając z Bucniowa każdy o tem tylko myślał, aby o nim gospodarz na drugi rok nie zapomniał.

Ostatki karnawału, 29 i 30 stycznia spędziliśmy w Zwiniaczu p. Franciszka Mysłowskiego. Pomimo okiści i braku myśliwych, którzy nie dojechali, w 7 strzelb padło 89 zajęcy, 3 rogacze, 1 lis, 1 jastrząb. Do rogaczy gospodarz pozwolił dopiero drugiego dnia po śniadaniu strzelać, gdyby nie to, byłoby więcej, gdyż 7 rogaczy przepuszczono bez strzału, 6 lisów zaś z własnej ochoty goście przepuścili, o zajączkach nie wspominam nawet, bo aż wstyd, że na 94 sztuk padło strzałów... lepiej nawet nie wspominać. Pomimo takich niepowodzeń humory znakomite, do czego przyczynił się nie mało stuletni dereniaczek.

Rozjechaliśmy się z Dźwiniacza wywożąc najmilsze wspomnienia i niech mi wolno jeszcze raz na tem miejscu w imieniu całej drużyny myśliwskiej złożyć szanownemu gospodarzowi dzięki za tak świetne polowanie.

Adam Maniewski
delegat tarnopolski.

Dublany 22. lutego 1904.

Myślałem, że przecież usłyszę hymn pochwalny na cześć polowania w Krzywczu, tymczasem nie widzę w „Łowcu“ nic..... Biorę więc znowu pióro do ręki, gdyż nie sztuka

być na polowaniu i nie podzielić się wrażeniami swemi z towarzyszami w św. Hubercie, owszem cięży na nas obowiązek zdania relacyi z polowań, w których braliśmy udział. Z tych to bowiem korespondencyi najlepszą ma się statystykę zwierzyny, najlepiej śledzić rozwój, lub upadek jej stanu w różnych stronach naszego kraju, więc one powinny każdego najbardziej interesować. A jednak..... mimo tylu myśliwych u nas i tylu polowań, tak mało relacyi o nich w „Łowcu“. Ileż ślicznych polowań mija w cichości, bez rozgłosu i sławy! Skromnie to, ale bardzo w tym wypadku niełądnie. — Ale do rzeczy:

2. stycznia polowaliśmy w Krzywczu. Polowanie to od dawna było w ręku starosty borszczowskiego; ten kochając bardzo zwierzynę i troskliwą otaczając ją opieką, ale tylko..... na półmisku, pozwalał wszystkim polować i skutek był taki, że na polowaniach zaledwie parę zajęcy padało w roku, a sarna była rzadkością mimo sąsiedztwa takich rewirów, jak Sapohów i Germakówka. Dopiero nowy starosta, p. Wyczółkowski, choć także nie myśliwy, pojął, że nie sztuka jest jeść zwierzynę i wybijać ją, ale że należy się tej biednej zwierzynie i opieka, czego jeszcze niestety nie wszyscy u nas pojęli, myśląc, że wystarczy urządzić raz do roku paradne polowanie na cudzą zwierzynę ściągniętą poprzednio, wypisać sobie szumny panegiryk w „Łowcu“, również szumne sprostowania, jeżeli kto się ośmieli zaprzeczyć, aby być wielkim myśliwym z zasługami dla łowiectwa krajowego. Ale i tak wszędzie postęp, ot już i Krzywcze w dobrych rękach p. Wasyleńkiego, który z sąsiedniego Sapohowa baczy, aby zwierzynie kto szkody nie wyrządził i tak podniósł zdziesiątkowany jej stan, żeśmy tam 2. stycznia zabili 82 zajęcy, 5 kozłów, i 3 lisy, co jest w obec poprzedniego wyniszczenia i słabych nadziei rezultatem doskonałym. Były także i dziki w dwóch miotach, ale poszły na nieobstawione flanki. — W naszem najbliższem sąsiedztwie, Borszczowie, także już lepiej, bo przedtem wszyscy tam przez cały rok strzelali naszą zwierzynę, a teraz tylko raz do roku na nią polują; na początek i to dobre. — Ale przejdźmy na drugą stronę Seretu, do bilczeckich ścianek, w których polowaliśmy w kilka strzelb 4. stycznia. Padło 81 zajęcy i 2 kozły, z czego pierwsza ścianka dała nam 70 zajęcy. Sypało się to, jak zawsze w Bilczu stadami i dosyć powiedzieć, żem w tej jednej ściance 35 ładunków wystrzelał — a leży ona prawie jeszcze w parku i we wsi.

C. C. G.

Cieszanów, 22. lutego 1904.

Jako delegat Towarzystwa gal. łowieckiego na powiat tutejszy, przesyłam Szanownej Redakcyi sprawozdanie o łowiectwie w powiecie cieszanowskim.

Grunta tutejszego powiatu są w połowie piaszczyste, w połowie iłowate, mało przepuszczalne; lasy są dość gęste, przeto okolica nadaje się w zupełności do pielęgnowania zwierzostanu wszelkiego rodzaju.

Ciąg słonek na wiosnę był nadspodziewanie słaby, zato ptactwa wodnego i błotnego było podostatkiem, kuropatw zdybać można liczne stadka w każdej okolicy a przepiórki nie były rzadkością, chociaż ich ogólnie coraz mniej się spotyka.

Stan sarn w lasach, w których się tą zwierzyną po myśliwsku opiekują, można nazwać świetnym.

Zające w zapustach często przychodzą do strzału, lecz na polu i w grubym lesie należą do rzadkości.

Tegoroczny sezon polowania rozpoczął się bardzo późno, bo dopiero z końcem grudnia, a to polowaniem w lasach marszałka powiatowego P. Gnoińskiego w Cieszanowie i Nowem Siole.

W 12 strzelb polowano dnia 28., 29. i 30.

Pierwsze mioty były przeznaczone na dziki. Rzeczywiście zaledwie linia myśliwska się ustawiła, zaledwie dano hasło nagonce do ruszenia, wypadło 16 dzików na linię myśliwych, strzelaniny było dużo, padło około 30 strzałów, jednakowoż prawdziwego zapału myśliwskiego Št. Hubert nie pobłogosławił dodatnim wynikiem.

W następnych miotach okazywały się dziki pojedynczo, tak, że przy końcu dnia znalazły się 2, a mianowicie jeden odyniec i jeden wycinek na rozkładzie. Ostatniego dnia polowanie trwało tylko do południa i znów jeden duży odyniec ozdobił rozkład; razem prócz tych padły 3 kozły, 14 zajęcy i cztery lisy.

Nadmienić muszę, że w lasach tych położonych tuż obok miasteczka Cieszanowa, dziki mają stałą siedzibę, to też właściciel jak tylko ponowa pozwala na otropienie, zarządza często dorywcze polowania w kilka strzelb na te szkodniki i to z dodatnim wynikiem.

Na tych polowankach ubito tego roku 8 dzików.

Dnia 4. stycznia odbyło się polowanie w Chotylubiu i tutaj pokazywały się dziki, jednakowoż spotkanie wybierały sobie z młodymi myśliwymi, którzy prócz strachu nie wyrządzili im innej krzywdy; na rozkładzie znalazło się kilkanaście zajęcy, lis i kozioł.

Na drugi dzień odbyły się świetne łowy w dobrach barona Wattmanna w Rudzie Różanieckiej. Polowanie to pod względem prowadzenia, należy do najświetniejszych i udowadnia, jak świetny zwierzostan mógłby być w naszych lasach, gdyby były w rękach prawdziwych myśliwych, roztaczających staranną opiekę przez rok cały nad zwierzyną.

Już w pierwszym miocie, obejmującym tylko skrawek lasu a zresztą świeże zręby, witały myśliwych całe stadka sarn, a od zajęcy, że się tak wyrażę, aż się roiło.

W 16 strzelb ubito 119 zajęcy, 1 lisa i 20 rogaczy, nie licząc w to postrzałków, za którymi na drugi dzień zarządzono poszukiwania.

Nic też dziwnego, że przy obiedzie myśliwskim panował humor wyśmienity a wszyscy goście z bliska i daleka przybyli, składali niekłamane wyrazy wdzięczności, szanownemu gospodarzowi za prawdziwie świetną biesiadę pod patronatem Št. Huberta.

W pierwszej połowie tegoż miesiąca odbyły się polowania w Lublińcu, w dobrach Zdzisława bar. Brunickiego i w Łówczy, własności Kazimierza Jampolskiego.

Pierwsze polowanie mogłoby być świetnem a przynajmniej udałem, gdyby nie ta okoliczność, iż wszystkie lasy leżą daleko od wsi i całą swą długością przypierają do granicy rosyjskiej, a przeto narażone są na kłusownictwo przez straż graniczną a nawet niepokojone przez psy, których objeżdżcycy używają do tropienia przemytników.

Polowanie w Łówczy, tej dawnej rezydencyi myśliwskiej króla Jana III. uwieńczone było rozkładem 58 zajęcy i 3 kozłów, jakoteż 2 lisów i gdyby aura sprzyjała, gdyż w dzień polowania było wilgotno i bez śniegu, wynik mógłby być o wiele lepszy.

Dnia 16. stycznia polowaliśmy znów u bar. Wattmanna, w rewirze Niemstowskim. Tak samo i tutaj wzorowy porządek, wojskowa prawie karność służby leśnej, zapewniały znakomitą zabawę.

To też i oczekiwania nie zawiodły; wieczorem na rozkładzie znalazł się jeden wielki odyniec, drugi postrzelony zaledwie uszedł, 10 rogaczy, 68 zajęcy i 4 lisy.

Dnia 25. stycznia urządziłem pierwsze polowanie w Gorajcu w lasach, które dopiero pierwszy rok dzierżawię.

W 10 myśliwych polowano w zagajnikach i nieco podszytych zrębach. W pierwszym miocie uszczęśliwiło oczekujących myśliwych około 20 dzików, które szybkim kłusem defilowały w niewielkiej odległości.

Po kilku strzałach znaleziono 1 dzika z przestrzeloną piersią już nieżywego, zaś drugi mocno farbował, w dalszych miotach dzików nie spotykano, chociaż ich wszędzie oczekiwano, dlatego też i rozkład był stosunkowo skąpy, gdyż prócz dzika składał się z 11 zajęcy i jednego rogacza.

W następnych dniach odbyły się polowania w Sieniawce, Hałuszczyńcach, Tryputycku. W 12. myśliwych ubito 8 kozłów, 32 zajęcy i 3 lisy.

Dnia 20. i 21. stycznia odbyło się większe polowanie w dobrach stołowych ks. biskupa Pelczara, na które zjechali goście ze Lwowa i Przemyśla, jakoteż drużyna tutejszo-powiatowych myśliwych, razem w liczbie 20.

Lasy w Łukawcu i Bihalach, leżą na samej granicy tutejszego powiatu i są najbardziej wystawione na ataki kłusowników.

To też przed kilku laty widok sarn lub zajęcy należał do rzadkości, dopiero sprężystemu zarządowi dóbr przez p. Długosza i niezmordowanej energii, którą rozbudzić potrafił w służbie leśnej zawdzięczyć należy, iż obecnie rewiry te mogą być z przyjemnością na polowania wyzyskane.

Przy niebardzo celnem strzelaniu rozkład ozdobił jeden dzik, 4 rogacze, 3 lisy i 68 zajęcy.

Nie mogę pominąć ciekawego epizodu z dzikiem.

W trzecim miocie zapowiedziano obecność dzika. Wkrótce po ruszeniu nagonki, rozległ się jeden strzał a po chwili drugi, wreszcie po minucie może trzeci.

Po zejściu się myśliwych, przybyły ze Lwowa sekretarz namiestnictwa, p. Grabowski opowiedział, że miał szczęśliwe spotkanie z ogromnym odyńcem, na jakich 10—15 kroków, że pierwszy strzał kulowy lufy kalibru 14, skierował w komorę, że po strzale dzik stał dalej jak wryty, miał przeto czas drugi raz strzelić, mierząc w sam środek dzika i po tym strzale dzik pozostał nieruchomy.

Chcąc zbadać co się stało, postąpił kilka kroków naprzód, natenczas dzik posunął się w krzaki i tak się ukrył, iż myśliwy nie mógł wiedzieć, czy przodem czy tyłem do niego jest zwrócony, skierował więc strzał (kula eksplodująca) w część najwyraźniej widzianą.

Po trzecim strzale dzik szarżował na myśliwego, przycisnął go do drzewa i otarł mu rękę, a sam zniknął w gąszczu.

Wysłany za śladem farby gajowy zaraportował, iż dzik przeszedł do drugiego miotu.

Zarządzono nagonkę w drugim miocie, lecz bezskutecznie, wrócono więc do pierwszego i tam znaleziono dzika już nieżywego.

Z prawej strony miał śliczną szablę, lewa zaś była zupełnie wytarta.

Oględziny okazały, iż podanie myśliwego było zupełnie prawdziwe, dzik miał wszystkie trzy kule, pierwsza przeszyła płuca, druga przeszła na wylot przez wnętrzności, ostatnia zaś eksplodująca zdarła tylko skórę z grzbietu od ogona począwszy.

Jakkolwiek nie lubię się rozpisywać o staropolskiej lub innej gościnności i wystawnem przyjęciu etc., nie mogę pominąć, iż pomimo, że gości było 20-tu, postarano się o wygodny nocleg dla każdego, a przyjęcie przy którem honory gospodarza domu sprawował pełnomocnik ks. biskupa, p. Długosz, zadowoliła najwybredniejsze nawet wymagania.

Koniec karnawału myśliwskiego spędziliśmy w licznem gronie myśliwych w lasach opackich i ostrowieckich, należących do klucza lubaczowskiego, będących własnością hr. Gołuchowskich.

Myśliwych prócz Adama hr. Gołuchowskiego było 14, a na ich czele siostra gospodarza pani hr. Starzeńska.

Knieja opacka słynie od dawna w powiecie z ilości sarn, otóż zaraz w pierwszym miocie wychodziły sarny stadkami 20 do 30 sztuk, a tylko z powodu, iż niektórzy myśliwi niedokładnie rozpoznawali płeć, inni zaś z zasady nie strzelali rogaczy bez rogów czyli parostków, rozkład uwieńczyło zaledwie 8 kozłów. Ogółem padło 113 zajęcy, 7 lisów i 8 rogaczy.

Pani hr. Starzeńska wzbudzała podziw między czeladzią Śt. Huberta, gdyż nietylko dzieliła z myśliwymi trudy polowania, ale i celnymi strzałami zawstydzała niejednego wytrawnego myśliwego i przyczyniła się znakomicie do obfitego rezultatu, to też było powodem, iż jeden z myśliwych podczas śniadania wniósł jej zdrowie wierszami, z których wyjątek podaję:

Ja wiersz swój składam od myśliwych w dani,
Przezacnej Polce, tej dostojnej Pani,
Która z rusznicą i na równi z nami,
W służbie Huberta skroń swą wawrzynami
Tak zasłużenie i często zdobiła.
Że nam za przykład odwagi służyła,
Więc w mem imieniu i Waszem Panowie,
Pani Starzeńskiej wnoszę wierszem zdrowie!

Na zakończenie muszę donieść, iż rokrocznie, osobliwie podczas dojrzewania plonów rolnych, mnożą się skargi ludności z powodu szkód wyrządzanych przez dziki i prośby o zaopatrzenie jej certyfikatami do tępienia tych szkodników.

Jakkolwiek sprawdziłem, iż przeważna część tych zażaleń była bezpodstawna lub mocno przesadzona, a prośby spowodowane nie chęcią tępienia dzików, lecz chęcią łatwego nabywania zwierzyny użytecznej, osobliwie sarn, nie mogę nie przyznać, iż trafiają się dotkliwe dla ludności rolniczej szkody, których wynagrodzenia (ze względu na postanowienia §. 47 ustawy łowieckiej, iż tylko wtenczas można uznać właściciela lasu lub dzierżawcę polowania za odpowiedzialnego za szkody, jeżeli mu udowodnionem zostaje, iż dziki hoduje lub zakazuje ich tępienia) uzyskać nie może, byłoby więc na czasie w tym kierunku zaprowadzić zmianę, a mianowicie proponowałbym, by część opłat z kart myśliwskich była przeznaczona na wynagrodzenie tych szkód, gdyż n. p. w tutejszym powiecie nie ma ani jednego właściciela lasu lub dzierżawcy polowania, któryby dziki hodował lub ich nie tępił, a mimo tego, szkody są i wynagrodzone być nie mogą.

Seweryn Chrząszczewski
delegat na powiat Cieszanowski.

Czytając pilnie „*Łowca*“ nie znalazłem nigdy wzmianki, ani o polowaniach odbytych w majętnościach położonych w pow. sądowych Monasterzyska i Tłumacz, ani też w ogóle o stosunkach łowieckich tych powiatów. Jest to

tem trudniejsze do wytłómaczenia, iż powiaty te obfitują w przepiękne terena myśliwskie, bo rozległe i ślicznie położone lasy, poprzerzynane łąkami i polami, które różnorodną, chociaż co prawda nie wszędzie liczną przechowują zwierzynę. W niektórych z tych majątków znajdzie myśliwy prawdziwą rozrywkę i roskosz, bo niezwykłą obfitość zwierzyny, dobrze prowadzone polowanie i na każdym kroku zdobędzie przekonanie, że właściciel otacza zwierzynę swą opieką i stara się o jej pomnożenie. Wskazuje to i udowadnia niewątpliwie, że dbałość i starania o zwierzostan prowadzone systematycznie, choćby z niewielkim nakładem, zawsze się opłacają.

Brak wszelkich wiadomości z tych stron, skłania mię do notatki niniejszej, a spodziewam się, iż wiadomości te chętnie będą przyjęte i sądzę, że opis polowania odbytego w Komarówce przyjmą tak szanowna Redakcya jak i szanowni czytelnicy pobłażliwą krytyką.

Z pomiędzy wyż wspomnianych, korzystnie w łowiectwie wyróżniających się majątków, wymienić należy Komarówkę, własność pp. Wolgnerów.

Otóż przedewszystkiem zaznaczyć muszę, iż polowania w Komarówce cieszą się od lat kilku zasłużonem uznaniem, a przyczynia się do tego z jednej strony rożnorodność i obfitość zwierzyny, dobrze prowadzone polowanie, a z drugiej strony nader serdeczne i gościnne przyjęcie, nadzwyczajna uprzejmość gospodarstwa — a zatem miła zabawa towarzyska, które dostarczają na czas dłuższy miłych wspomnień.

W tym roku odbyło się polowanie w Komarówce, w dniu 23. stycznia w 12 strzelb. Rezultat tego polowania można nazwać świetnym, w 7. bowiem miotach naliczono na rozkładzie 8 dzików, 6 rogaczy, 22 zajęcy i 2 lisy. Mały stosunkowo rozkład w sarnach i zającach tłumaczy się tem, iż brano tylko na dziki mioty większe, mioty zaś sarnie i zajęcze opuszczano. Stan sarn w lasach Komarówki jest bowiem piękny.

Taką ilość dzików, jak w Komarówce, rzadko zdarza się napotkać. Zaraz w pierwszym miocie po zajęciu stanowisk, zaczęły padać strzały do dzików tak gęsto, jak w dobrym miocie zajęczym. Z wyjątkiem 3 myśliwych, wszyscy inni strzelali do dzików i to nie do tych samych, lecz zawsze do innych, z których co chwila kilka sztuk przez linię przemykało się. Niestety sprawdziło się przysłowie „człowiek strzela a Pan Bóg kule nosi“. Strzelano nie mało, cóż kiedy Pan Bóg kule nosił obok dzików, które zdrowo umykały. Widocznie miało dawne, stare przysłowie „w Boga wierz a dobrze mierz“ praktyczne uzasadnienie. Nie pomylę się, jeśli będę twierdził, iż każdy myśliwy chętnie i szczerze do tego przysłowia zastosowałby się. Cóż kiedy dobra wola nie zawsze zgodną jest i idzie w parze z wykonaniem. Ileż to razy i sam postanawiałem sobie, że nietylko dobrze wierzyć, lecz i mierzyć będę. Ot i 23-go strzeliłem do ślicznego pojedynka, przysięgałem, że dobrze wymierzyłem, — a cóż z tego, kiedy czcigodny kapitan S...... kierujący jak zwykle świetnie polowaniem, po oglądnięciu miejsca strzału, zapytał się „a gdzie szczeć i farba“ i nie dostrzegłszy tychże odszedł, powiadając „szkoda czasu“ i nie nadłamawszy gałęzi.

Wspomnę przytem, że kapitan S. na polowaniu w Monasterzyskach w dniach 20., 21. stycznia br., zrobił tryplety i dublety do dzików. Nie przeszkodziło mu to i w Komarówce zrobić dublety, tak, że w jednym tygodniu, a 3 dniach ubił 9 dzików. Z obowiązku kronikarskiego zanotować jeszcze muszę, iż jednemu odyńcowi sprzykrzyła się najwidoczniej ta strzelanina, bo z niekoniecznie przyjacielskim zamiarem, szarżował na myśliwego, który tylko „skokiem w bok“ od cięcia salwować się mógł.

Z prawdziwym żalem opuszczaliśmy Komarówkę i żegnaliśmy naszych uprzejmych gospodarzy, którym jeszcze raz przesyłamy serdeczne „Bóg zapłać“ wołając „do widzenia“ w roku przyszłym.

M.

Wysuczka, 22. lutego 1904.

Polemika w kwestyach ogólno-łowieckich, wychodzi na pożytek łowiectwa krajowego, polemika powiatowa jakkolwiek nie jest zajmującą dla ogółu, wychodzi na pożytek łowiectwa miejscowego i dlatego upraszam Szanowną Redakcyę jeszcze o gościnność w łamach swoich, by módz zabrać głos w sprawie dwóch artykułów w ostatnim *Łowcu* umieszczonych a powiatu tutejszego dotyczących.

Pierwszy artykuł sprostowania na podstawie §. 19 nie jest właściwie sprostowaniem, lecz chwaleniem siebie, a insynuacyą czynów przez moją straż nigdy nie popełnionych. Straży leśnej PP. Mojżesza Dawida (2 im.) i Josla Feldschuhów nie ganiłem w artykule moim. Jeżeli PP. Feldschuhowie przychwycili chłopaka niosącego ubitą kozę w moich rewirach, do czego go namówił współwyznawca PP. Feldschuhów, posłałem im za to wynagrodzenie 10 koron, które płacę każdemu, kto kłusownika przychwyci, lecz była to rzecz sąsiedzka ze strony PP. Feldschuhów; dwa lata temu przychwyciła straż moja kłusownika wychodzącego z lasu PP. Feldschuhów i odebrała mu strzelbę; kłusownik pokaleczył mego gajowego; za przychwycenie tego kłusownika dostal gajowy zwykłą nagrodę odemnie, chociaż to był rewir sąsiedzki — czy tędy czy owędy goj zapłacił. Prawdą jest, że P. Josel Feldschuh, towarzysz jego Waldberg i jeden z młodzieńców katolickich, szli ławą czyli po polsku powiedziawszy „streifowali“ na mojem terytoryum pod rewirem PP. Feldschuhów, gdzie leśniczy Welenowski łapał kuropatwy w siecie, aby te zimować i na wiosnę puszczać. Myśliwi zobaczywszy z za pagórka straż moją czemprędzej umknęli do zrębu, a stamtąd wyszedłszy, pytali leśniczego, co robi i robocie tej przypatrywali się. Było to na mojem terytoryum, bo do cudzego nigdy nie sięgam, mając gdzie polować u siebie.

Co do ustępu o wyniku polowań, który jest równobrzmiącym z panegirykiem ze Złoczowa napisanym, powiem tylko tyle, że prawdziwy myśliwy, jeżeli robi jakieś porównanie kniei łowieckiej, robi to naprzód z uwzględnieniem położenia terytoryalnego tych kniei, po drugie z uwzględnieniem czasu, w którym się poluje, a po trzecie z uwzględnieniem ilości strzelb biorących udział w polowaniach, tego wszystkiego w panegiryku ze Złoczowa dopatrzeć się nie mogę.

Z artykułu ze Złoczowa widzę, że lasy PP. Mojżesza Dawida (2 im.) i Josla Feldschuhów, to same rewiry w polach, graniczące z najlepszemi kniejami tj. z Halileją, hr. Lanckorońskiego, z Cyganami, księżny Sapieżyny, z Iwankowem hr. Gołuchowskiego, z Kolędzianami pana Horodyskiego i z ordynacyą Czarkowskich.

Kiedy wszędzie opolowano knieje PP. Feldschuhowie urządzili u siebie polowanie, nic dziwnego, że rezultat był taki jaki jest. U mnie było polowanie 12. grudnia, jednocześnie z Giermakowieckiem hr. Baworowskiego, a więc było na czarnej stopie, gdzie zwierzyna wszystka w polu.

Nie staję w obronie mego polowania, lecz przytaczam korespondentowi jego pochwałę kniei Germakowiec-

kiej w pierwszym artykule, a jednak ta knieja, która rok rocznie dostarcza 1000—1300 szfuk, w tym roku dała sześćset kilkadziesiąt sztuk, a co do pielęgnacyi łowiectwa, chyba hr. Michałowi Baworowskiemu nic zarzucić nie można. Tu ma szanowny korespondent najjaskrawszy dowód jaką w polowaniach gra rolę czas.

Terytoryalne położenie kniei równie wpływa na wynik łowów. Lasy łączące się w jedną wielką całość jak lasy Muszkatówki, Turylcza, Wołkowiec, Sapohowa, Wierzbówki, Krzywcza i Germakówki, tworzą ogromny kompleks, zwierzyna w nich nigdy gęstą być nie może bo ma się gdzie rozejść.

Na koniec wielką gra rolę ilość biorących udział myśliwych. Dwudziestu trzech myśliwych brało udział w polowaniu u PP. Feldschuhów — ależ to armia, która jest w stanie wybić do nogi wszystko, co żyje w lesie. O tym wzorowym porządku, jaki panował na polowaniu i o tej energii w prowadzeniu polowania mógłby coś powiedzieć jeden z myśliwych i jeden z nagonki, z których pierwszy trafiony w kark zawdzięcza tylko kołnierzykowi, że na miejscu nie padł z ręki energicznego gospodarza, a drugi trafiony w głowę — również mało brakowało, by na rozkładzie nie leżał.

A teraz ja się zapytam szanownego korespondenta ze Złoczowa, czy jest możliwość, aby przy takiem wybijaniu masowem zwierzyny w remizach, remizy te naturalnym sposobem zapełniały się bez współudziału kniej sąsiedzkich? Proszę obecnie po polowaniu u PP. Feldschuhów do lasu zaglądnąć, czy tam kłapeć siana rzucony jest zwierzynie, proszę mi wskazać choć jedną budkę, gdzie kuropatwy karmę dostają, proszę mi pokazać choć jedno ziarno rzucone dla tego ptaka w ciężkiej chwili mrozów, a więc walki o egzystencyę, proszę mi pokazać jedno żelazo nastawione na jastrzębie, wrony i sroki, lisy lub borsuki. Tego wszystkiego nikt nie widział, bo to kosztuje. Nie przeczę, i to zaznaczyłem w pierwszym moim artykule, że od czasu objęcia Borszczowa przez PP. Mojżesza Dawida (2 im.) i Josla Feldschuhów jest znaczny postęp ku dobremu, lecz do doskonałości, o której Szanowny korespondent tyle pisze, jeszcze daleko. W łowiectwie niech nam nie imponuje ani sute śniadanie ani fety kulinarne, niech nam nie imponuje ilość fornalek, patrzmy na rzeczywisty ład łowiecki t. j. na pieczę o zwierzostan, a to rzuca się w oko zaraz u wstępu do kniei. Doskonałości w łowiectwie nabywa się nie przez odziedziczenie majątku, lecz doświadczeniem długoletniem, a zamiłowanie i pasyę łowiecką dziedziczy się po przodkach. PP. Feldschuhowie odziedziczyć jej nie mogli, a że to jest dzisiaj modnym sportem i oni się tego chwytają.

Ja w mojej kniei wiem wszystko co jest, a na pierwszej ponowie mam raporta zwierzyny wchodnych i wychodnych tropów, ja wiem o każdym stadku kuropatw i bażantów, ja znam każdą lisią i borsuczą jamę, w ogóle mam obraz najdokładniejszy stosunków łowieckich w mojej kniei; gniazda szkodników niszczy się i ani jednego nigdy u siebie nie mam, na wędrujące gołębiarze, orły i jastrzębie ponastawione kapkany, dla zajęcy sieję jarmuż, dla sarn halawy pozasiewane rzepakiem, daję wykę i koniczynę, cały rok lizawki, zwierzyny jest dosyć, która raziła i sąsiadów, dbających tylko o to, aby się pokazać przed światem jacy oni wielcy ludzie. To blichtr, który krajowi nie przysparza korzyści, a sąsiadom usiłowania paraliżuje.

Wytknięcie usterek w zawodowym piśmie nie powinno ani gniewać, ani obrażać, lecz złe usuwać, a kadzidła wzbijają w zarozumiałość nawet ludzi, którzy nie mają żadnych a żadnych warunków do roli przewodniej w społeczeństwie.

Czarkowski-Golejewski.

Naszą uwagą w tej sprawie, umieszczoną w ostatnim numerze, daliśmy wyraz naszemu zapatrywaniu na nią — obecnia korespondencya udowadnia tylko, że mieliśmy zupełną słuszność. Wyjaśnieniami temi chcemy uważać sprawę za skończoną.

Redakcya.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redaktor odpowiedzialny: **Ludwik Józefowicz.**